

1.

Teraz

Wysiadam z samochodu na ciężkich nogach, zapinam kurtkę i nakładam skórzane rękawiczki, po czym wyjmuję z bagażnika szpadel i torbę. Już pora. Nogi mi się rozjeżdżają, kiedy brnę w kaloszach przez chlupoczące błoto. Zmierzam w stronę przerwy w żywopłocie, która jest w tym miejscu, odkąd pamiętam. Gdy zagłębiam się w las, przechodzi mnie dreszcz; wydawało mi się, że będzie tu więcej światła. Dla uspokojenia kilka razy nabieram w płuca sosnowego powietrza. Walczę z chęcią, by odpuścić i wrócić dopiero rano. Wtedy przypominam sobie, co tu właściwie robię, i zmuszam się, aby iść dalej.

Oświetlam drogę smartfonem, wypatruję króliczych nor, w które mogłabym wpaść. Przechodzę nad powalonymi drzewami, sadzę duże kroki; dawniej skakałam przez te pnie jak przez płotki. Mam dwadzieścia pięć lat, to przecież nie za dużo na bieganie, ale niosę nieporęczny bagaż, poza tym wcale mi się nie spieszy tam, dokąd zmierzam. A jeszcze nie planowałam robić tego sama...

Zatrzymuję się, opieram szpadel o biodro, rozcapierzam palce i próbuję pozbyć się mrowienia. Słyszę szelest w krzakach. Mam wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Z wściekle

tłukącym sercem kieruję w tamtą stronę światło smartfona i przepłaszam dwa króliki.

– Wszystko dobrze – mówię do siebie, ale własne słowa dudnią mi w głowie.

Powraca dojmujące poczucie osamotnienia.

Plecak zaczyna ciążyć, poprawiam paski na ramionach i ruszam dalej. Gałązki trzaskają pod butami. Zaczyna mi świtać, że chyba jednak trzeba było skręcić w inną stronę, ale w końcu docieram do polanki. Rośnie na niej drzewo, w które uderzył piorun. Nie miałam pewności, czy nadal tu będzie, ale rozglądam się i mam wrażenie, że nic się nie zmieniło – choć przecież, co oczywiste, zmieniło się wszystko. Wspomnienie poprzedniej wizyty w tym miejscu zapiera mi dech w piersi. Uderza z taką mocą, że upadam. Wilgoć liści i ziemi przenika przez spodnie, tak jak przeszłość wlewa się do teraźniejszości.

* * *

– Pospiesz się, bo zastaną cię tu szesnaste urodziny. Zimno mi! – zawołała Charlie. Siedziała na rozpadającym się płocie na skraju pola kukurydzy. U stóp przyjaciółki leżały reklamówki, a jej włosy lśniły w słabym, koralowym słońcu. Charlie nigdy nie należała do najcierpliwszych, teraz niestety musiała zaczekać, aż dowlokę się do niej, przyciskając do piersi pudełko zawierające nasze nadzieje i marzenia.

– No dawaj, Grace! – zawołała.

Zeskoczyła z płotu, zabrała swoje rzeczy i pobiegła w stronę drzew. Włożyłam pudełko pod pachę i próbowałam za nią nadążyć; śledziłam jej fioletową kurtkę i szłam za zapachem dezodorantu Impulse, który podkradała matce.

Gałęzie drapały nas po nogach, nawet przez dzinsy, i ciągnęły za włosy, ale niestrudzenie brnęliśmy przed siebie, aż dotarliśmy do polanki.

– Czerwone policzki pasują ci do włosów – roześmiała się Charlie, kiedy położyłam pudełko na ziemi i pochyliłam się, usiłując złapać oddech.

Spociałam się, mimo że temperatura tego późnego popołudnia nie była wysoka. Charlie zaczęła opróżniać reklamówki: przekąski, napoje, zapaliki, rydel... i prezencik, opakowany w lśniący fioletowy papier z naklejką „PIĘTNASTKA” – wszystko to wysypała na kruszejącą ziemię. Z uśmiechem na ustach wręczyła mi podarek. Usiadłam po turecku, delikatnie rozkleiłam boki, tak żeby nie uszkodzić papieru, i wysunęłam ze środka pudełeczko. Znajdował się w nim łańcuszek, a na nim połowa złotego serduszka z wygrawerowanymi słowami „NAJLEPSZE PRZYJACIÓŁKI”. Spojrzałam na Charlie i poczułam, że łzy napływają mi do oczu. Charlie pociągnęła za kołnierzyk swojej polarowej bluzy i pokazała drugą połowę serca. Założyłam łańcuszek. Moja przyjaciółka zaczęła kopać dół, ja zaś, jak przystało na skautkę, sprawnie rozpałam niewielkie ognisko. Kiedy słońce schowa się za horyzontem – a dni były już krótkie – zrobi się jeszcze zimniej. Charlie zziała się z wysiłku i miała pełno ziemi za paznokciami, ale w końcu wykopała dość głęboki dół.

Umieściłam w nim nasz pudełkowy bank pamięci. Poświęciliśmy całą sobotę na wybór zawartości i dekorowanie wieka, polegające na przyklejeniu wyciętych z czasopism zdjęć supermodelek i gwiazd popu, które chciałyśmy naśladować.

– Nie da się być z b y t bogatą albo z b y t chudą – powiedziała Charlie.

Zgarnęła garść ziemi i wsyłała ją do dołu.

– Czekaj! – krzyknęłam. – Chcę włożyć jeszcze to. – Machnęłam papierem, w który był opakowany prezent.

– Teraz już nie można. Przecież zapieczętowałyśmy.

– Postaram się ostrożnie.

Powoli odkleiłam przezroczystą taśmę i uchyliłam wieko. Zajrzałam do środka i zobaczyłam na wierzchu, na kupce zdjęć, różową kopertę, której na pewno tam nie było, kiedy wcześniej wypełniałyśmy pudełko. Zerknęłam na Charlie, a ona zrobiła zagadkową minę.

– Co to jest? – Wyciągnęłam rękę po kopertę.

Przyjaciółka mocno chwyciła mnie za nadgarstek.

– Nie rób tego.

Wyswobodziłam się i zaczęłam rozcierać bolące miejsce.

– Co jest w środku?

Unikała mojego wzroku.

– Wiadomość, którą przeczytamy, kiedy wrócimy po pudełko.

– Jaka wiadomość?

Wyrwała mi papier, wcisnęła go byle jak do pudełka i zatrzasnęła wieko. Kiedy Charlie nie chciała o czymś rozmawiać, nie było zmiłuj. Postanowiłam odpuścić. Uznałam, że jej cokolwiek dziwne zachowanie nie zepsuje mi urodzin, o nie.

– Chcesz się napić? – Sięgnęłam po cydr i otworzyłam puszkę, niestety tak, że musująca pianka popłynęła po ścianie.

Wytarłam dłoń o dzinsy i wzięłam łyk. Poczułam ciepło w żołądku, napój splukał mój niepokój.

Charlie wsyłała ziemię z powrotem do dołu, wyrównała ją i ubiła rydlem. Potem dołączyła do mnie.

Siedziałyśmy przy trzaskającym ognisku, opierając się o pień powalonego drzewa i podjadając upieczone pianki. Dopiero kiedy zgasł żar, uświadomiłam sobie, jak jest późno.

– Chodźmy już. Muszę być w domu przed dziesiątą.

– Okej. Paluszek i sztama, że razem wrócimy i otworzymy pudełko? – Złączyłyśmy dłonie małymi palcami, stuknęłyśmy się puszkami cydru i wypiliśmy za obietnicę.

Jeszcze nie wiedziałyśmy, że nie zdołamy jej dotrzymać...

* * *

Zostałam sama.

– Charlie – mówię szeptem. – Szkoda, że cię tu nie ma.

Pół serduszka od Charlie, zawsze na mojej szyi, dynda, kiedy pochylałam się, jakbym szukała drugiej połówki. Ostrożnie układałam wieniec. Wszzechogarniająca panika, która prześladowuje mnie od śmierci Charlie przed czterema miesiącami, znów wypełza na powierzchnię. Zrywam szalik z szyi, żeby móc swobodniej oddychać. Czy to naprawdę moja wina? Czy zawsze to ja jestem winna?

Robi mi się gorąco, mimo że jest styczeń. Kiedy zdejmuję rękawiczki, mam wrażenie, że ostatnie słowa Charlie odbijają się echem między drzewami: „Zrobiłam coś strasznego, Grace. Mam nadzieję, że mi wybaczysz”.

Co takiego zrobiła? Na pewno nic gorszego niż ja, mimo wszystko zamierzam się dowiedzieć. Wiem, że dopóki tego nie zrobię, moje życie się zatrzyma. Aż do dzisiejszego rana nie miałam pojęcia, jaki powinien być mój pierwszy krok – wtedy przyszedł list w różowej kopercie. Obudził wspomnienie o innym, ukrytym w naszym pudełkowym banku pamięci. Liście, którego Charlie nie pozwoliła mi przeczytać. Kto wie,

może znajdę w nim jakąś wskazówkę. A przynajmniej będę miała od czego zacząć. Rozmowy z osobami, które ją znały, niczego nie wniosły, poza tym przecież to ja znałam Charlie najlepiej. Byłam jej najlepszą przyjaciółką, prawda?

Ale czy można naprawdę – tak n a p r a w d ę – poznać drugą osobę?

Siadam na piętach i trwam w bezruchu. Owiewa mnie chłodny wiatr. Gałęzie się bujają, liście szumią, a drzewa szepcąc zdradzają mi swoje tajemnice, zachęcając do odkrycia sekretów Charlie.

Kręcę głowę, odganiając myśli i obciążam rękawy, a potem wycieram nimi mokre policzki. Zmęczoną dłonią sięgam po szpadel i chwytam trzonek tak mocno, że nadgarstek pulsuje bólem. Biorę głęboki oddech i zaczynam kopać.

2.

Teraz

– Łapciu! – wołam do kotki. – Wróciłam.

Trzymam pudełkowy bank pamięci wysoko w górze i przeciskam się przez korytarz, kierując się w stronę salonu. Uda je mi się nie strącić żadnej z moich nadmorskich grafik, wiszących na zielonkawoniebieskich ścianach.

– Ach, tu jesteś.

Szara puchata kulka zwinęła się w kłębek na taborecie przed pianinem, na którym tata uczył mnie grać. Gdy tylko opanowałam sztukę samodzielnego siadania, podnosił mnie i sadzał na skórzanym stołku. Swoimi dużymi palcami – przypominającymi kiełbaski, ale zaskakująco zwinnymi – uderzał akordy, a ja wystukiwałam melodię. Już nigdy więcej nie zagram. Wspomnienie o tym, że kiedyś wiodłam normalne życie – że miałam zwyczajną rodzinę – jest wciąż zbyt bolesne.

W salonie panuje półmrok, choć przez drzwi balkonowe do środka wpada światło. Na zewnątrz po ciemniejącym niebie przesuwiają się groźne chmury. Naciskam włącznik. W tym roku zima daje się nam we znaki, już prawie zapomniałam, jak wyglądały słoneczne letnie wieczory, kiedy siadałam na dworze z drinkiem. Kostki lodu brzęczały w szklaneczce, a ja

sączyłam napój, patrząc, jak zapalają się lampy solarne, a na tle nieba w kolorze indygo przelatują nietoperze.

Talerz z garnca Alfreda Meakina, który trzymam na specjalne okazje, stoi niepewnie na stercie starych numerów magazynu „FHM”. Zasnięte żółtko i keczup zasłaniają oryginalny kwiecisty wzór. Solniczka leży na podłodze. Wysypała się jej biała zawartość. Dan jadł.

Robię krok nad zmiętym ręcznikiem, docieram do ławy i odsuwam leżący na niej sfatygowany egzemplarz *Małych kobietek* – czytam tę książkę sąsiadce, pani Jones, która nosi szkła grubości denek od butelek, więc sama nie zdoła poradzić sobie z małą czcionką. Już tylko kilka stron dzieli mnie od fragmentu, w którym Beth umiera, i wiem, że choć czytałam go wiele razy, znów się rozbeczę. Kiedy stawiam bank pamięci na kremowym blacie ławy, z pudełka sypią się okruchy zasnętego błota. Strzepuję je na podłogę. Stare zdjęcia supermodelek i artystów jednego przeboju odkleiły się od plastiku i zwisają smętnie; już nawet nie pamiętam, kim byli ci ludzie. Szukam paznokciem końca taśmy, którą zapieczętowałyśmy wieko. Jest. Straciła przylepność i odchodzi bez trudu. Odklejam ją – i przyklejam z powrotem, mocno przyciskam kciukami i wygładzam. Czuję, że to nie w porządku, nie powinnam otwierać banku bez Charlie, ale nie mam wyboru, jeśli chcę się dowiedzieć, co zawiera różowa koperta. A chcę się dowiedzieć! Mimo to czuję się nieswojo, jakbym naruszała prywatność przyjaciółki.

W domu jest zbyt cicho. Nastawiam płytę. Nina Simone śpiewa, że jest jej dobrze. Cieszę się, że choć jedna z nas może to powiedzieć. Dan wszystko, czego słucha, ściąga z internetu, ale mnie więcej przyjemności sprawiają staromodne rzeczy,

z którymi dorastałam. Co z tego, że dziś nawet dziadek jest ode mnie pod tym względem nowocześniejszy – ma zestaw Bose SoundDock i odtwarzacz Blu-ray. Siadam na brązowej skórzanej sofie i zapadam się w miękkich różnokolorowych poduchach. Winył kręci się na talerzu, trzeszczy i szumi, domaga się uwagi, tak jak moje wspomnienia.

Nie czuję, że minęło już siedem lat, od kiedy wprowadziłyśmy się do tego domu. Wtedy nie miałam na głowie żadnych zmartwień, a moje życie wreszcie toczyło się we właściwym kierunku. Ogarnęła mnie obsesja, właściwie obsesyjka, na punkcie tkanin dekoracyjnych. Dan przewracał oczami za każdym razem, gdy kupowałam nową poduszkę.

Raz wyrwał mi jedną z rąk i zaczął wirować z nią po pokoju, trzymając tak, jak trzyma się partnerkę w tańcu.

– Tańcz, jakby nikt nie patrzył, ty wypchany pianką strzępku mądrości.

– Na pewno nikt nie chce patrzeć, jak ty tańczysz – powiedziałam mu wtedy.

Rzucił się na mnie i zaczął łaskotać, aż upadliśmy na podłogę. Zdarliśmy z siebie ubranie, znalazł się na mnie, we mnie, i potem plecy mnie swędziały od tarcia o dywan w czerwone zawijasy, który jakiś czas później wymieniliśmy na puszysty czekoladowobrązowy. Potem przytuliliśmy się do siebie owinięci różnokolorową narzutą z sofy i podzieliliśmy pizzą hawajską. Powiedziałam Danowi, żeby zamówił pepperoni, bo nigdy nie potrafił zrozumieć obecności owoców w pikantnej potrawie, ale wiedział, że przepadam za połączeniem słodkiego i słonego.

Dziś wydaje mi się, że minęło bardzo dużo czasu, od kiedy ostatni raz się tak śmialiśmy. Tak się kochaliśmy. Smutek

sprawił, że odsunęliśmy się od siebie jak odpychające się magnesy i dziś bez względu na to, jak bardzo staramy się zbliżyć jedno do drugiego, natrafiamy na przepaść, nad którą za nic nie potrafimy przerzucić mostu.

Łapcia siada, prostuje łapki i wygina grzbiet w łuk – przypominam sobie, że znowu nie poszłam na zajęcia z jogi. Nic nie działa tak niszcząco jak poczucie winy. Wyżera od środka. Wiem o tym doskonale – zamiast Grace powinnam mieć na imię Wyrzut Sumienia. Powinnam była urodzić się katoliczką. Łapcia zeskakuje z taboretu z wdziękiem właściwym kotom i ociera się głową o moją łydkę, miauczeniem domagając się jedzenia.

Idę za nią do kuchni. W powietrzu unosi się zapach starego oleju, a w zlewie, który był czysty i lśniący, kiedy wychodziłam, stoi woda. Wystaje z niej, niczym słupek z tabliczką: „UMYJ MNIE”, rączka patelni. Otwieram okno wychodzące na podwórze za domem. Do środka wpada zimne powietrze. Na jutro zapowiadają śnieg. Włączam czajnik. Na drewnianym blacie leżą dwie skorupki po jajkach, wypływają z nich płynne resztki białka. Wrzucam je do przepełnionego kosza na śmieci. Później go opróżnię. Przecieram blat i płuczę kubek, w duchu narzekając, że Dan zawsze musi wziąć czysty, kiedy robi sobie coś do picia. Nie mamy zmywarki, tylko zmywaczkę – mnie. Kuchnia jest maleńka, czy też „niewielkich rozmiarów, lecz funkcjonalna”, jak powiedziałby Dan, gdyby nasz dom był jednym z tych, które sprzedaje. Brakuje miejsca na szafki, ale za to lubię spiżarnię, w której mieści się wszystko, czego potrzebujemy.

Wkładam rękę do puszki z herbatą i dotykam metalowego dna. Światło w lodówce rozświetla niemal puste półki. Co

mogę zrobić z kawałkiem koziego sera i pomarszczoną czerwoną papryką? Dan wróci do domu po meczu i będzie się domagał kolacji. To niesprawiedliwe. Nigdy nie prosi mnie, żebym coś ugotowała, tylko zawsze zakłada, że to zrobię. I się nie myli. Odsuwam od siebie wspomnienie czasu, o którym już nie rozmawiamy. Czasu, w którym nie wiedziałam, jak się nazywam, a tym bardziej jak się obsługuje piekarnik. Teraz jakoś sobie radzę. Naprawdę.

Wpisuję herbatę na niekończącą się listę zakupów, którą przyczepiam do drzwi lodówki magneśm z wizerunkiem świnki i napisem „STOP”. Dan kupił mi go w zeszłym roku – „żeby mnie wesprzeć na duchu”, tak powiedział, po tym jak zrezygnowałam z kolejnej diety. Kolorowe magazyny nie pomagają. W jednym piszą, że brytyjska czternastka to średnia krajowa i że wcale nie jestem gruba, a w drugim publikują zdjęcia wychudzonych modelek z wystającymi obojczykami i zapadniętymi policzkami. Zostawiłam sobie ten magnes, aby mi nieustannie przypominał, że muszę zrzucić z pięć kilogramów. Nigdy mi się to nie udaje.

Łapcia kręci mi się pod nogami, zachęcając, bym schyliła się po jej pustą miskę. W szafce znajduję ostatnią saszetkę kociej karmy. Przekładam zawartość do miski i dorzucam nieco herbatników. Miauczy niecierpliwie.

Przyglądam się, jak się zabiera do jedzenia, bez skrępowania, jak to zwierzę. Od śmierci Charlie kotka jest dla mnie wielką pociechą. Więcej ulgi znalazłam w jej milczeniu niż w nieporadnej gadaninie Dana. Nie planowałam, że będę miała zwierzaka, ale trzy lata temu, kiedy kotka sąsiada babci urodziła sześć młodych, poszłam zrobić im zdjęcia, żeby je potem pokazać dzieciom w przedszkolu, w którym pracuję. Kociaki

były cudowne, a kiedy najmniejszy wgramolił mi się na kolana i zasnął, nie miałam wyjścia – musiałam zabrać go do domu. Zniosłam go, a właściwie ją, jak się okazało, do mojej używanej fiesty. Usiadła na miejscu dla pasażera w specjalnie przygotowanym pudełku, wyściełanym spłowiełym różowym koćkiem, i zmrużyła oczy przed słońcem, które zobaczyła po raz pierwszy w życiu. Jechałam do domu wolniej niż zwykle, zaparkowałam na pełnej wybojów uliczce przed domem i potrząsnęłam mrowiącymi dłońmi. Zaciśnęłam pięści i wbiłam sobie paznokcie w skórę wewnętrznej strony dłoni, tak że zostawiły wyraźny półkolisty ślad. Pamiętam, że pokręciłam głową do samej siebie. W pracy opiekowałam się trzydzieściorogiem sześciorgiem czterolatków. Zajmowanie się kotkiem to przy tym pestka.

Po wejściu do środka patrzyłam, jak rozgląda się i odważnie wędruje po swoim nowym domu. Jak ją nazwać? Kiedy byłam małą, miałam fioła na punkcie Beatrix Potter. Tata codziennie przed snem czytał mi jedną opowiadankę, kwestie każdego zwierzaka wypowiadając innym głosem. Uwielbiałam słuchać o wygłupach Toma Kociaka i jego siostr: Mopci i Łapci. Łapki tej małej wydawały się delikatniejsze niż cała reszta. Łapcia – doskonale imię, kojarzyło mi się z tatą.

Kiedy wypuściliśmy ją po raz pierwszy, o mały włos przejechałyby ją śmieciarka. Tak się przestraszyła, że za nic nie chciała już wychodzić. Próbowaliśmy zwabić ją do ogrodu, ale za każdym razem dopadał ją taki stres, że weterynarz powiedział: dajcie spokój, wyjdzie, kiedy będzie gotowa – okazało się, że nigdy.

Dziś nie potrafię sobie wyobrazić, jak dom wyglądałby bez niej. Patrząc, jak kończy posiłek i chłopcze wodę szybkimi ruchami różowego języczka, po czym wymyka się z kuchni.

Czajnik głośno bulgocze i wypływa parę, a potem się wyłącza. Idę za Łapcią do salonu. Siadamy obok siebie na sofie i wpatrujemy się w pudełko. Ciekawe, czy pamięta, że przyjechała w czymś takim do domu.

– Spokojnie, nie ma tam nic żywego – zapewniam ją.

Ale to kłamstwo. Moje wspomnienia nadal żyją i trudniej je okiełznać niż wiercącego się kociaka.

Zaczynam obgryzać paznokiec kciuka. Nie zdziwiłabym się, gdyby zza drzwi nagle wyskoczyła Charlie i krzyknęła: „Tadam! Naprawdę sądziłaś, że cię opuszczę?”. Ogarnia mnie poczucie osamotnienia. Przez większość czasu chce mi się płakać i nie czuję się na siłach, by stawić czoło wspomnieniom, które od siebie odsunęłam. Boję się, że jeżeli już zacznę sobie przypominać, nie będę potrafiła przestać, a są rzeczy, o których wolałabym nie myśleć. Ani teraz, ani nigdy.

W domu panuje bałagan, postanawiam więc posprzątać. Sprzątanie zawsze działa na mnie terapeutycznie, cieszę się, że mogę skupić się na czymś innym niż myśli. Zostawiam pudełko tam, gdzie stoi, i zaczynam od kuchni. Podwijam rękawy, wlewam do zlewu kilka kropel płynu do mycia naczyń i odkręcam gorącą wodę. Woda pieni się i podnosi, a ja ścieram tłuszcz z płyty grzejnej. Kiedy zlew jest pełny, zanurzam ręce w wodzie, po czym błyskawicznie je cofam i odkręcam kurek z zimną – ale się oparzyłam!

Stojący na parapecie słoiczek z balsamem do rąk jest pusty. Jestem przekonana, że Dan używa moich kosmetyków, choć on stanowczo temu zaprzecza. Idę na górę do drugiej sypialni, w której trzymam zapas przyborów toaletowych. Kiedy oglądaliśmy dom przed zakupem, wiedzieliśmy, że poprosimy

Charlie, aby zamieszkała z nami, i nadal myślę o tym pokoju jak o jej pokoju, mimo że nawet go nie widziała.

Znajduję balsam i nacieram nim obolałe dłonie. Zapach lawendy mnie uspokaja, przywodzi na myśl torebeczki, które szyła babcia, gdy byłam mała i kiedy koszmary zwyciężały, ilekroć zamykałam oczy. Wkładała saszetki z lawendą do mojej szuflady z pidżamami i pod poduszkę. Kwiatowa woń łagodnie układała mnie w objęciach snu i czuwała nade mną przez całą noc. Babcia od dawna nie szyje – przez artretyzm – ale dla mnie pociecha nadal ma zapach lawendy.

W kieszeni zaczyna wibrować mój telefon. Sięgam po niego tłustymi, śliskimi palcami, odbieram, kładę na ramieniu i przytrzymuję uchem, po czym wycieram dłonie o fartuch.

– Cześć, Dan. Wygrałeś?

– No. Trzy do dwóch. Trafiłem w ostatniej minucie.

– Pewnie się cieszysz. To pierwszy raz od dłuższego czasu.

– Dzięki, że mi przypomniałaś.

– Nie chciałam... – Milknę. Udawaj, że jesteśmy normalną parą, i uważniej dobieraj słowa, mówię sobie. – To świetna wiadomość. Kupię stek i wino. Uczcimy to.

– My już świętujemy. Jesteśmy w barze. Przyjdź do nas.

– Nie mogę.

– Kiedyś musisz znowu zacząć żyć. Czemu nie dzisiaj?

Wszyscy tu są.

Nie wszyscy. Moje myśli biegną ku stojącemu na ławie pudełku, będącemu częścią Charlie. Jak mogłabym wyjść i ją zostawić?

– Muszę coś zrobić.

– Jak chcesz. – Niemal słyszę odrzucenie w jego głosie i przez krótką chwilę żałuję, że nie ma mnie przy nim w barze,

że nie sączę ciepłego cydru i nie śmieję się z dowcipów tak sprośnych, że byłoby mi wstyd je powtórzyć. – Nie czekaj na mnie.

Rozłącza się, zanim zdążę odpowiedzieć, że nie będę czekała. Nigdy tego nie robię.

Mam przed sobą długi, cichy wieczór. Nie jestem głodna, mimo że nic nie jadłam. W kuchni otwieram butelkę wina. Przecież nie zrobię sobie herbaty, usprawiedliwiam się sama przed sobą. Zawsze czuję się trochę dziwnie, kiedy piję sama.

W salonie jest ciemnawo, ale zamiast jaskrawego górnego oświetlenia zapalam lampkę stojącą na ławie. Pokój wypełnia ciepła morelowa poświata. Siadam na sofie, podciągam nogi i kładę dłoń na śpiącej Łapci.

– Dziś wieczór zostałyśmy same – mówię do niej.

Spoglądam na pudełko i wiem, że to nieprawda. Bo Charlie jest wszędzie.

Wkrótce pierwszy kieliszek chardonnay mam już za sobą. Chłodny płyn sływa mi pomiędzy motyle kłębiące się w brzuchu. Dopiero w połowie drugiej lampki moje drżące palce lądują na pudełku i uchylają wieko. Na wierzchu leży kawałek mieniącego się fioletowego papieru do pakowania prezentów. Pod nim, pamiętam dobrze, znajduje się list. Podnoszę różową kopertę pod nos i wącham, zaciągając się głęboko. Liczę na to, że wyczuję zapach Charlie. Koperta pachnie jednak wilgocią i ziemią. Znow coś ściska mnie za gardło. Ile jeszcze osób stracę? Czasem zaciskam zęby, kiedy słyszę, jak Dan przekręca klucz w drzwiach, i szykuję się na kolejną kłótnię, ale na myśl o samotności wypełnia mnie przerażenie. Poza tym skoro nie rozdzieliło nas to, co się wydarzyło, chyba staliśmy się silniejsi, prawda?

Trzymam w dłoni telefon. Przeglądam listę ostatnich połączeń. Numer Dana. Naciskam zieloną słuchawkę. Na ekranie pojawia się nasze zdjęcie, to z jednej z imprez u Lyn, na którym on jest przebrany za Supermana, a ja za Wonder Woman. Lyn jest dla mnie bardziej przyjaciółką niż szefową, a to zdjęcie zawsze wywołuje uśmiech.

- Chciałam tylko powiedzieć, że cię kocham – mówię.
- Wiem – odpowiada krótko.
- Uważaj na siebie, dobrze? Nie wsiadaj za kierownicę po alkoholu.
- Co? Słabo cię słyszę?
- Mówiłam, żebyś na siebie u...
- Grace, przerywasz. Mam kiepski zasięg. Poczekaaj chwilę, to...

Tracę połączenie. Wybieram numer ponownie, ale mechaniczny głos prosi mnie o pozostawienie wiadomości. Poirytowana rzucam telefon na sofę i pochylam się nad ławą, żeby rozpakować pudełko.

Kiedy przeglądam niewielki album ze zdjęciami, przez głowę przelatują mi tysiące wspomnień. Na tym zdjęciu Charlie i ja pozujemy na plaży, jesteśmy dumne z naszych pierwszych bikini, wypinamy płaskie jak deska piersi; tutaj jesteśmy na szkolnej dyskotecie, całe ręce mamy w srebrnym brokacie. Są tu fotografie, na których roześmiani Charlie, Dan i ja w gorący letni dzień polewamy się w ogrodzie wodą z węża. Jest taka, na której Charlie uśmiecha się do aparatu, a Dan wpatruje się w nią z uwielbieniem. Tu widać mnie, Charlie i Dana w ostatni dzień semestru, jak z uśmiechem na ustach zrzucamy szkolne krawaty, których już nigdy więcej nie założymy. Ależ wtedy czuliśmy się wolni! Kolejne zdjęcie, tym razem

grupowe: ja, Esmée, Charlie i Siobhan. Nasza Wielka Czwórka. Byłyśmy bardzo zżyte. Kto by pomyślał, że zwrócimy się przeciwko sobie?

Wyjmuję ostatnie zdjęcie z foliowej koszulki. Charlie stoi na nim w ogrodzie moich dziadków. Wiatr rozwiewa jej równo obcięte blond włosy. Ma na sobie pomarańczową koszulkę w nierównomierne plamy i kuse szorty z białego dżinsu. Nieźle jej się dostało za to, że podkraǳła spodnie z szuflady matki, a potem stępiła nożyczki babci, obcinając nogawki.

Zdejmuję z pianina fotografię, na której jestem z Danem – machamy na niej kluczami do domu i wywijamy butelkę szampana – i zamiast niej wsuwam do srebrnej ramki zdjęcie Charlie.

Dzwoni telefon. Rzucam się do niego, licząc, że to Dan, ale nie – wyświetla się nieznany numer. Od razu myślę o najgorszym: Dan miał wypadek i trafił do szpitala. Czuję, że zaczynam się pocić. Odbieram i słyszę czyjś oddech.

– Halo – mówię. – Halo? – powtarzam głośniej. – Halo?!

Nikt się nie odzywa. W końcu ciszę zastępuje sygnał. Ktoś się rozłączył. To już trzeci taki telefon dzisiaj. Postanawiam wyłączyć aparat.

Przetacza się przeze mnie fala zmęczenia. Alkohol i silne wzruszenie mieszają się i ciążą mi na powiekach. Przecieram oczy, próbuję rozproszyć widmo przeszłości. Zabieram zdjęcie i kopertę do łóżka i opieram obie te rzeczy o lampkę stojącą na szafce nocnej. Oglądanie albumu wzbudziło we mnie tyle emocji, że boję się, iż całkiem stracę nad sobą panowanie, jeśli do tego wszystkiego dziś wieczorem otworzę list od Charlie. Wyłuskuję tabletkę nasenną z plastikowego kokonu, kładę ją

na języku i połykam, popijając letnią wodą. Zapadam w nie-
spokojny sen zmacony wizjami Charlie i mojego taty.

*– To twoja wina, Grace – mówi tata ze snu. – Gdyby nie ty, był-
bym tu z tobą.*

– Grace, otwórz kopertę – szepcze Charlie. – Nie zawieźdź mnie.

Budzę się rano w zmiętej pościeli i na wilgotnej poduszce.
Dan jeszcze nie wrócił.